

Franz Scholz, ZWISCHEN STAATSRÄSON UND EVANGELIUM. KARDINAL HLOND UND DIE TRAGÖDIE DER OSTDEUTSCHEN DIÖZESEN. Verlag J. Knecht, Frankfurt am M. 1988, ss. 225 + 1 mapa + ilustracje.

Stosunki kościelne na ziemiach zachodnich i północnych po upadku Rzeszy hitlerowskiej w 1945 r. zajmują stosunkowo skromne miejsce w piśmiennictwie historiograficznym i publicystyce. W pewnej mierze lukę tę wypełnia książka księdza Scholza, skierowana w szczególności do polskiej hierarchii kościelnej rzymskokatolickiej i młodego pokolenia Polaków. Ono to cierpi — co szczególnie niepokoi autora pracy — na „systembedingter Informationsrückstand” (s. 12), będący wynikiem solidarnego milczenia partii rządzącej i Kościoła katolickiego na temat likwidacji niemieckiej organizacji kościelnej (katolickiej) i wypędzenia milionów Niemców z tych obszarów. Ksiądz Scholz nie szczędzi zapewnień o swoich przyjaznych wobec Polaków uczuciach, bardzo leży mu też na sercu — i to przede wszystkim — „oczyszczenie terenu, na którym może wzrosnąć przyszłość niemiecko-polska” (s. 13).

Warunkiem tego pożądanego pojednania jest gotowość do rzeczowego dialogu na temat wszystkich aspektów likwidacji wielowiekowej egzystencji Niemców na polskich ziemiach zachodnich i północnych w atmosferze wolnej od narodowych namiętności, narodowej arogancji i nieufności, bazującej na kompleksach niższości i poczuciu zagrożenia. Autor nie wyjaśnia, na ile niemieckie Kościoły wyczerpały te możliwości. Zamierzeniem pracy nie jest pobudzanie uczuć doznanej krzywdy i rozpamiętywanie zadawanych sobie nawzajem aktów gwałtu, lecz skłonienie Episkopatu Polski do swoistej ekspiacji za wykazywaną w 1945 r. wobec tragedii Niemców obojętność i jednostronne decyzje administracyjne prowadzące do obalenia historycznej struktury Kościoła (archidiecezji wrocławskiej). Wspomniana ekspiacja zdaje się być warunkiem sine qua non prawdziwego dialogu. Zarazem nie sposób oprzeć się, przy wyliczaniu warunków prawdziwego pojednania w rozumieniu księdza Scholza, od konstatacji, iż brak lub niedostatek refleksji nad ogromem win własnego narodu i pomieszanie przyczyn ze skutkiem należą do szczególnie niepokojących słabości niniejszej pracy.

W głównej tezie autor podkreśla, że polski Kościół katolicki swoją działalnością na byłych niemieckich obszarach wschodnich nadał decyzjom poczdamskim własną, ogromną dynamikę, współdziałając w tragedii wypędzenia milionów Niemców etnicznych i osadzając polską organizację kościelną, nie oglądając się na wolę mieszkającej tu (niemieckiej) ludności i samej Stolicy Apostolskiej. Wybitną rolę w tym procesie odegrał sam prymas Polski kardynał August Hlond, którego decyzje sprzeczne z zasadami Ewangelii, choć zgodne z polską racją stanu, wykraczały poza pełnomocnictwa uzyskane od papieża Piusa XII.

Ksiądz Scholz jest kompetentnym autorem. Los obdarzył go przynajmniej dwoma szczęśliwymi dla duchownego i historyka okolicznościami: długowiecznością i biegłą, jak można sądzić, znajomością języka polskiego. Urodzony w 1909 r. ksiądz Scholz był do 1946 r. proboszczem katolickiej parafii przy kościele św. Bonifacego w Zgorzelcu (Ost-Görlitz). Często obcował z polskimi robotnikami sezonowymi w Rzeszy, nad którymi sprawował opiekę duszpasterską. Bezpośrednio po wojnie kontaktował się z niektórymi wybitnymi przedstawicielami niemieckiej hierarchii katolickiej dawnych wschodnich Niemiec, którzy byli przedmiotem działań Episkopatu polskiego, zainteresowanego w nowym układzie stosunków kościelnych na tym terenie.

W I rozdziale autor omawia postanowienia państw sprzymierzonych w kwestii redukcji terytorium Niemiec i transferu ludności z utraconych przez nie obszarów. Podobnie jak większość prac zachodnich, podnosi polityczną inteligencję Stalina i naiwność Zachodu, szczególnie rolę Churchilla w zainicjowaniu wypędzenia 8-9 mln Niemców.

Autor wprawdzie nie pisze wprost o degradacji cywilizacyjnej ziem zachodnich i północnych, lecz częste porównywanie liczby przesiedlonych Niemców (8-9 mln) z liczbą osiadłych tu ze wschodu Polaków (1,8-2,2 mln) służy zapewne nie tylko do podkreślenia moralnej strony podjętych decyzji, lecz i potencjalnych konsekwencji w sferze osadnictwa i gospodarki.

Autor dokonuje, skądinąd przyjętego w nauce, rozróżnienia okoliczności, w jakich okrojono Niemcy i dokonano przemieszczenia ludności po I i II wojnie światowej. Zarówno Polacy, jak stojąca za nimi Rosja przyjęli metodę faktów dokonanych, starając się przed spodziewaną konferencją pokojową (bez udziału Niemiec!) zdobyć najbardziej dogodną pozycję przetargową. Ziemie zachodnie i północne byłej Rzeszy Stalin przekazał we władanie Polakom, którzy już od marca 1945 r. wydawali zarządzenia o quasi-suwerennej wymowie (np. wywłaszczenie własności niemieckiej na zajętych obszarach z 2 marca 1945), nie bacząc na mające zapasć ostateczne rozstrzygnięcia co do losu niemieckiej ludności i przynależności politycznej terenów leżących na wschód od Odry i Nysy.

Rezultatem tych pragnień polskich był gwałtowny, dokonany przemocą i coraz lepiej koordynowany transfer ludności niemieckiej. Polacy pragnęli uzyskać jak najlepsze rezultaty statystyczne, aby uspić czujność Zachodu i przedstawić w Poczdamie tereny wschodnie Niemiec jako zasadniczo pozbawione rdzennej ludności, a w każdym razie jej większości. Polacy celowo zaniżali liczbę pozostałej na wschód od Odry ludności. Nie ulega wątpliwości, że tak było w istocie. Polityczne przesłanki dominowały nad elementarnymi zasadami humanitaryzmu oraz nad podstawowym rachunkiem gospodarczym, jako że pozbawione gospodarza mienie i zbiory 1945 r. ulegały częściowemu, bezpowrotnemu zniszczeniu.

Także z tym faktem trudno będzie stronie polskiej polemizować, jako że nie tylko brakowało ludności polskiej jako takiej, ale wskutek wyniszczenia przez Niemców inteligencji (o czym Scholz milczy) i niższego poziomu kultury technicznej społeczeństwa napływającego ze wschodu los wielu cywilizacyjnych dokonań Niemców znalazł się w niebezpieczeństwie (W.S.). Brzemienno w skutki był ten bilans także dla położenia samej Polski, zdegradowanej do roli rosyjskiego satelity, jak i dla Niemiec, gdyż wypędzenie Niemców i brak skrupułów w zajmowaniu odwiecznie (przynajmniej od XIV w.) niepolskich terenów nieznośnie („unerträglich”) obciążały stosunki polsko-niemieckie na całe dziesięciolecie (s. 49).

W rozdziale II ksiądz Scholz przechodzi do nakreślenia okoliczności, w jakich nastąpiło zniesienie organizacji Kościoła katolickiego niemieckiego na byłych terenach wschodnich Rzeszy. Koncepcji współegzystencji obu społeczności i Kościołów strona polska, Episkopat i całe duchowieństwo przeciwstawiły ideę bezwzględного wykorzystania wszelkich śladów niemieczyny. Bojowo nastrojony Kościół polski motywował swoje postępowanie — godne podkreślenia w swojej konsekwencji i odejściu od zasad Ewangelii — wiernością polskiej racji stanu i pragnieniem wyjścia naprzeciw narastającemu potrzebom duchowym ludności polskiej, stopniowo zyskującej liczebną przewagę nad Niemcami.

Przełomową rolę w tych zamierzeniach odegrał sam prymas Polski, który znakomicie wykorzystał nader sprzyjającą sprawie polskiej atmosferę międzynarodową i rozbudowywane, przynajmniej od początku II wojny światowej, stosunki w Kurii rzymskiej. Prymas świetnie przygotował się do rozgrywki z niemiecką hierarchią kościelną diecezji wrocławskiej, a raczej z jej pozostałą na ziemiach zachodnich częścią. Styl księdza Scholza zdaje się tu przechodzić na tory politycznej polemiki, jakby doznania przeszłości i (prawdopodobnie) czynione mu upokorzenia ponownie ożyły. Optymizmowi i bezwzględności polskich biskupów przeciwstawia przygniecionych brzemieniem klęski, złym traktowaniem i odcięciem od wydarzeń w Niemczech i Rzymie członków kapituły we Wrocławiu. Okoliczności te miała wyzyskać strona polska, choć autor nie stwierdza tego *expressis verbis*.

Natychmiast po powrocie z Rzymu do kraju 20 lipca 1945 r. prymas Polski — po zapoznaniu się z sytuacją na miejscu — przystąpił do kompletowania hierarchii kościelnej na ziemiach zachodnich i północnych. Tempo tych działań, określonych przez autora jako „rozkład jazdy” prymasa (s. 55), było imponujące. Pomiędzy 3 a 6 sierpnia nominował

polskich biskupów, a dopiero później miał przystąpić do starannie przygotowanych rozmów z hierarchią niemiecką. Los zdawał się sprzyjać planom prymasa, gdyż nieoczekiwanie 6 sierpnia, z dala od własnej diecezji, umiera dr Bertram, kardynał i arcybiskup wrocławski. Osamotniona kapituła wrocławska nie straciła opanowania ani optymizmu, kiedy to odrzuciła przedstawionego przez stronę polską kandydata na miejsce zmarłego kardynała. Wyniesiono natomiast do godności wikariusza kapitulnego Niemca, dra Piontka. Krok ten wzmógł wśród duchownych polskich (bp Adamski) obawy przed kontynuacją kursu germanizacyjnego w nowych warunkach politycznych.

Przełomowym wydarzeniem dla losu niemieckich diecezji była rozmowa między prymasem Polski a dr. Piontkiem, do jakiej doszło we Wrocławiu 12 sierpnia 1945 r. Prymas — mając pełnomocnictwo od Ojca Świętego — jednoznacznie oczekiwał od wikariusza złożenia urzędu. Nalegań swoich nie poparł dokumentem, tylko powołał się na wolę Piusa XII. Rezygnacja dr. Piontka miała przeto odpowiadać oczekiwaniom Watykanu i poprzedzać osadzenie polskich administratorów apostolskich (s. 60). Dr Piontek ustąpił bez oporu, uzasadniając to później poczuciem dyscypliny kościelnej i posłuszeństwa w obliczu woli Stolicy Apostolskiej. Ksiądz Scholz nie jest w stanie ukryć zdumienia w obliczu tak szybkich sukcesów prymasa, które mogła opóźnić bardziej twarda postawa dr. Piontka, na którą ten, niestety, nie zdobył się w toku historycznej rozmowy z 12 sierpnia 1945 r.

Rezygnacja wikariusza kapitulnego we Wrocławiu otworzyła drogę do obsadzenia polskich biskupów na wakujących stanowiskach.

Dla uzasadnienia swoich poczynań prymas sięgnął do tradycji kultu maryjnego. Wydanie dekretów nominacyjnych dla polskich biskupów w dniu 14 sierpnia 1945 r. nieprzypadkowo zbiegło się ze świętem maryjnym. Kościelny patos miał podpieierać fakty dokonane, zaś polskie uroczystości ku czci Matki Boskiej były równoznaczne z wypędzeniem niemieckiego, żywotnego Kościoła (s. 71).

Położenie Niemców na Pomorzu, w Prusach Wschodnich i na Śląsku, jak też tych, którzy wcześniej opuścili te tereny, było podwójnie tragiczne. Niemcy, pozbawieni opieki duszpasterskiej ze strony Kościoła polskiego, odczuwali swoje osamotnienie tym silniej, że także Watykan zdawał się milcząco akceptować decyzje zwycięzców. Bierność Stolicy Apostolskiej odbierała ducha Niemcom, zaś dynamizowała działalność Episkopatu Polski i tysięcy księży, energicznie prowadzących polonizację (dodajmy też: reslawizację) ziem zachodnich i północnych. Zastąpienie struktury administracyjnej Kościołów niemieckich przez polski, zdaniem autora, nastąpiło już w sierpniu 1945 r. Forsowna polonizacja i pozbawianie Niemców własności odbierały rację istnienia i działania Kościołom i duchowieństwu niemieckiemu, zaś umacniały legitymizm obecności polskiego Kościoła katolickiego. W morzu polskości zawężano zakres duszpasterskiej działalności duchowieństwa niemieckiego. Dopiero 10 października 1945 r. Stolica Apostolska miała dowiedzieć się o tragicznym losie Niemców na przyznanych Polsce terenach (s. 78).

Zniszczenie struktury niemieckiego Kościoła otworzyło drogę systematycznemu zatrutowaniu stosunków między rdzennymi Niemcami a napływającymi ze wschodu Polakami przez rzesze duchowieństwa polskiego. Szczególnie nabożeństwa i msze polowe służyły duchownym do rozpętywania niczym nie skrępowanej nagonki antyniemieckiej, pogarszającej warunki bezpieczeństwa i bytowania pokonanego narodu. Szczególną rolę w tych działaniach polskiego Kościoła — kontynuuje ksiądz Scholz — odegrało intonowanie „Roty”, rozpalającej do granic ekstazy uczucia nacjonalistyczne uczestniczących w nabożeństwach Polaków. Księża polscy nie przejawiali żadnego niemal zainteresowania potrzebami duszpasterskimi miejscowych Niemców, zresztą nie byli w tym względzie inspirowani w jakimkolwiek stopniu przez hierarchię polską. Teza o kolektywnej odpowiedzialności całego narodu niemieckiego za „Frevel Hitlers” (to pojęcie pojawia się często — W.S.) wraz z mesjanistycznym charakterem polskiej tradycji katolickiej składały się na godną potępienia i przypomnienia bierność (przynajmniej bierność!), jaką Kościół wykazał w czasach tragedii osobistej milionów Niemców, z którymi nie liczyła się polska administracja. Skala tej samowoli była według autora nader rozległa: były to mordy, rabunki sporadyczne i zorganizowane, obozy przejściowe, zmusza-

nie Niemców do opuszczenia miejsc zamieszkania z nędznym dobytkiem, często pieszo całymi rodzinami itp.

Podstawowe znaczenie dla księdza Scholza ma rozdział III, pomyślany jako ocena postępowania prymasa Polski w wymiarze moralnym. Autor dokonuje porównania treści nadzwyczajnych pełnomocnictw przyznanych kardynałowi Hlondowi przez Piusa XII z przedstawionymi wyżej personalnymi zmianami w hierarchii Kościoła katolickiego w byłych niemieckich prowincjach wschodnich. Porównanie to wypada dla prymasa tak niepomysłnie, że według autora jedynie pragnienie służenia polskiej racji stanu i cechująca katolicyzm polski skłonność do nadużywania Ewangelii dla celów patriotycznych mogą tłumaczyć tak jaskrawe nadużycie przez prymasa wspomnianych pełnomocnictw, udzielonych mu już 8 lipca 1945 r.

Panująca w Kurii rzymskiej atmosfera sprzyjała planom prymasa Hlonda i on ją znakomicie wykorzystał. Dominowały nastroje niechęci wobec hierarchii niemieckiej, stanowiące odbicie światowego oburzenia na ogrom ujawnianych stopniowo zbrodni narodowego socjalizmu. Sprawy niemieckie stały w Watykanie źle, skoro żaden kardynał nie wziął udziału w requiem poświęconym pamięci kardynała Bertrama z początkiem sierpnia 1945 r. Dopiero 1 listopada 1945 r. Watykan zdecydował się przerwać milczenie, wyrażając ubolewanie nad obecnym stanem kwitnących niegdyś diecezji wschodnio-niemieckich oraz stosunków między Polakami a Niemcami na tych ziemiach. Nienawiść powinna była zostać zastąpiona przez miłość i pojednanie (s. 91). W Boże Narodzenie 1945 r. Pius XII podniósł do godności kardynała 3 duchownych niemieckich, którzy jednak — ku ubolewaniu księdza Scholza — nie wykorzystali tej okazji do podjęcia sprawy losu ludności niemieckiej na terenach przyznanych Polsce. Te gesty nie zmieniły niczego w sferze realiów. Watykan stawał jednoznacznie na gruncie prymatu polskich interesów państwowych i kościelnych.

Kardynał Hlond zdołał zdyskontować w Rzymie rozległe znajomości w kongregacjach, nawiązywane w okresie wojny. Był konsultowany przez Kurię rzymską w sprawach polskich. W dniu 26 czerwca 1945 r. rozmawiał z Ojcem Świętym. Wówczas to prymas wystosował do papieża list, którego efektem było otrzymanie w lipcu 1945 r. specjalnych pełnomocnictw. Prymas kreślił konieczność porzucenia pod naciskiem realiów idei jagiellońskiej na rzecz oparcia się na tradycji piastowskiej, z przesunięciem punktu ciężkości państwa bardziej ku zachodowi. Prymas nie domagał się tam zdjęcia z godności arcybiskupa diecezji wrocławskiej dra Bertrama, postulował jedynie konieczność objęcia opieką religijną ludności polskiej napływającej na obszar archidiecezji wrocławskiej ze wschodniej i środkowej Polski. Prosił też Rzym o ustanowienie osobnej diecezji opolskiej, mianowanie administratorów apostolskich dla terenów zachodnich. Całe rozumowanie prymasa pozostawia na boku interesy religijne ludności niemieckiej.

Na str. 95-98 autor przytacza treść pełnomocnictw papieskich. Ten dokument, opublikowany — jak można sądzić z pracy — dopiero w 1974 r., dawał prymasowi prawo korzystania ze specjalnych pełnomocnictw na „in tutto territorio polacco”, co dla księdza Scholza jest równoznaczne z zachodnią granicą Polski sprzed 1939 r. i obszarami od niej na wschód położonymi. Watykan, w myśl konkordatu z 1925 r., mógł mieć na myśli tylko biskupów we wspomnianym obszarze. Jeszcze rocznik papieski z 1942 r. uważał za polskie biskupstwa jedynie te, które znajdowały się na terytorium Polski przed wybuchem II wojny światowej.

Pełnomocnictwa wydane zostały przed zakończeniem konferencji w Poczdamie, która dopiero miała usankcjonować politykę polsko-radziecką faktów dokonanych. Zdaniem księdza Scholza reskrypt Piusa XII nie mógł więc rozszerzać pojęcia „in tutto territorio polacco” na ziemie zachodnie i północne Polski: Prusy Wschodnie, Śląsk, Pomorze, ziemię lubuską. Udzielone prymasowi pełnomocnictwa w zakresie opieki duchowej nad samą ludnością polską nie dawały mu podstaw do niszczenia struktury archidiecezji wrocławskiej i zmuszania do ustąpienia jej hierarchów. Przydzielenie szczególnego duszpasterskiego uprawnienia nie otwierało prawnie możliwości tworzenia nowych, diecezjalnych terytoriów. Tereny byłych niemieckich prowincji wschodnich nie stanowiły w 1945 r. dla Rzymu w żadnym wypadku „territorio polacco” (s. 102).

Szczególnie przykre dla księdza Scholza było to, że w udzielonych prymasowi Hlondowi pełnomocnictwach nie było mowy na temat ludności niemieckiej. Odmawiając

prymasowi prawnej podstawy działania na tych obszarach, autor powołuje się na ustalenia polskie (J. Pietrzak), uznające, że niewątpliwie pełnomocnictwa papieskie obejmowały obszar Polski w granicach z 1925 r. i podpisanego wówczas konkordatu ze Stolicą Apostolską, natomiast pewne niejasności mogą się rodzić co do ziem zachodnich i północnych (s. 105), w rezultacie więc złożona przez dr. Piontkę 12 sierpnia 1945 r. na ręce prymasa Polski rezygnacja była bezpodstawną.

To milczenie Stolicy Apostolskiej w obliczu przymusowego transferu ludności niemieckiej musiało zostać przez prymasa odczytane jako jej „Fallenlassen” przez Rzym (s. 116) i milczącą akceptację decyzji jałtańskich i poczdamskich. Rzym mógł przecież przewidzieć ten tok rozumowania prymasa, zaś zupełnie zawiedli niemieccy doradcy Kurii rzymskiej, którzy mogli zapobiec ekstremalnym interpretacjom pełnomocnictw papieskich przez kardynała Hlonda. Fakt, że Stolica Apostolska nie dała pierwszeństwa zasadzie „*audiatur et altera pars*” tłumaczy autor szokiem, jaki i w Watykanie wywołał ujawniany stopniowo ogrom zbrodni popełnionych przez III Rzeszę.

Przygotowywane przez Rzym w takiej właśnie atmosferze pełnomocnictwa zostały wykorzystane wyjątkowo konsekwentnie i jednostronnie. Dla prymasa i całego Episkopatu Polski celem ostatecznym polityki na terenach wschodnich byłej Rzeszy była radykalna ich polonizacja i reaktywowanie Kościoła katolickiego. Niemą pretensję kieruje ksiądz Scholz wobec dr. Piontkę, który zbyt szybko uległ prymasowi Hlondowi: jego ewentualny opór mógłby znacznie opóźnić zastępowanie niemieckich biskupów przez polskich ordynariuszy, a więc skomplikować scenariusz działań Episkopatu Polski (s. 119).

Potężną dynamikę polskim działaniom nadawała tradycja piastowska, pielęgnowana przez okres zaborów. Trwałe pretensje do terenów niemieckich, przekazywane z generacji na generację (ponadczasowość), do byłych obszarów państwa piastowskiego, wybuchły z wielką siłą po klęsce Niemiec w 1945 r.

Rozdział IV poświęcony jest reakcjom na politykę prymasa Polski. Zdaniem autora wśród części duchowieństwa polskiego panowało przeświadczenie, iż prymas przybywa do Polski z szerokimi istotnie uprawnieniami, umożliwiającymi przebudowę struktury kościelnej, włącznie z ziemiami zachodnimi. Tymczasem dostojnicy niemieccy nie poddali się rezygnacji. Do papieża zaczęły docierać informacje o sytuacji na tych terenach. Miały one wzbudzić zdumienie Piusa XII, postawionego przez prymasa w obliczu faktów dokonanych (nominacji polskich biskupów).

Po stronie polskiej miano zdawać sobie sprawę z sytuacji i przekroczenia przez kardynała Hlonda pełnomocnictw, reagując na zdumienie papieża tylko częściowym ich opublikowaniem. Wprawdzie po miodowych miesiącach, jak pisze autor, nastąpiły „Blitze” ze strony Rzymu, lecz Watykan mógł tylko w ograniczonym zakresie zareagować na dynamiczną politykę Hlonda. Dla Rzymu polscy administratorzy apostołscy stali się jedynie kościelnymi administratorami (s. 129). W sumie, konkluduje autor, część kongregacji zaakceptowała nominacje polskie, zaś zastrzeżenia Watykanu były jedynie efektem niemieckich nacisków.

Istniały też inne, jedynie w przypisach przez autora dostrzeżone, przesłanki postawy Watykanu. Polska stała się obszarem wpływów radzieckich, przeto protesty Rzymu wobec działań prymasa mogły podkopać częściowo autorytet Hlonda w samym kraju, uderzając rykoszetem w samego papieża, którego zaufaniem miał się cieszyć.

Autor w wyważonych, będących wzorem zwięzłości słowach sugeruje, że postępujące ograniczanie wolności politycznych w Polsce przez komunistów czyniło pozycję Kościoła i tak dostatecznie skomplikowaną; że interwencje otwarte Watykanu musiałyby przynieść dodatkowe koszty polityczne, podbudowując morale sił stawiających na osłabienie pozycji Kościoła katolickiego, zyskujących na znaczeniu w miarę upowszechniania się stalinowskiego modelu sprawowania władzy (s. 196, p. 20).

Ksiądz Scholz ubolewa nad uchylaniem się Episkopatu Polski od odpowiedzialności za czynny udział w wypędzeniu milionów Niemców z terenów wschodnich byłej Rzeszy. Obejmowała ona zarówno ideową sankcję przestępstw popełnianych przez cywilną administrację polską pod hasłem powrotu katolicyzmu i realizacji prastarej idei piastowskiej, jak i nakłanianie licznych duchownych i siostry zakonne pochodzenia niemieckiego do opuszczenia Polski, szczególnie na Górnym Śląsku (s. 147). W obliczu tak znacz-

nego angażowania się Kościoła w kształtowanie polskiej i — jak się miało okazać wkrótce — socjalistycznej rzeczywistości terenów wschodnich byłej Rzeszy, przedsięwzięciami nie wystarczającymi i ledwie znamionującymi zaniechane wkrótce dzieło pojednania były: słynny list biskupów polskich do biskupów niemieckich z listopada 1965 r. oraz milenijne posłanie Episkopatu Polski z lutego 1966 r. Wprawdzie Episkopat wybacza, lecz jakże słabym i niezdecydowanym głosem prosi o wybaczenie! Księdzu Scholzowi pozostaje przeto jedynie stwierdzić ze smutkiem: „Racja państwa nie pozwala Episkopatowi na nic innego. Werbalny plaster nałożony na ranę. My przebaczymy, lecz odmawiamy uznania własnej winy” (s. 144 n.).

W ocenie tej zdaje się zawodzić księdza Scholza znakomita w sumie znajomość stosunków i historii PRL, bowiem nie mogła ująć jego uwadze zarówno niezwykle gniewna reakcja oficjalnej propagandy partyjnej, jak i niezrozumienie przez część społeczeństwa polskiego głębi intencji i dalekowzroczności, kierujących postępowaniem Episkopatu i samego prymasa. Niestety, ksiądz Scholz działania Kościoła z 1965-1966 r. zalicza do wielu kurtuazyjnych gestów, nie zmieniających twardego kursu Kościoła w sprawie spojrzenia nowego na całość stosunków polsko-niemieckich po roku 1945.

Co więcej, w przekonaniu autora wszystkie strony potencjalnego dialogu po stronie polskiej: Kościół, społeczeństwo i władze pozostają nadal pod wpływem specyficznego, polskiego i wybitnie subiektywnego spojrzenia na własne dzieje. Pod wpływem mesjanizmu i religijnej projekcji przeszłości ukształtowana polska mentalność i kultura polityczna uniemożliwiają dostrzeżenie własnych win i znaczenia popełnianych w przeszłości na sąsiadach aktów przemocy. Polska świadomość historyczna ukształtowana została przez elitę humanistycznych sterników sumienia i tradycji narodowej, jak choćby przez Matejkę z jego *Bitwą pod Grunwaldem* czy Sienkiewicza. Polskie zwycięstwa (dodajmy od siebie: przeważnie nad innowiercami) interpretowano jako wiadome oznaki łaski Bożej i szczególnej opieki Matki Boskiej, co podsycalo, stanowiący szczególny rys polskiego katolicyzmu, kult maryjny. Ksiądz Scholz bez trudu jest tu w stanie powołać się na liczne prace polskich historyków świeckich i kościelnych. Tradycja pisania „ku pokrzepieniu serc”, lecz z widowym uszczerbkiem dla prawdy historycznej i chłodnego widzenia własnej przeszłości, uniemożliwia również obecnie elitom i społeczeństwu polskiemu przystąpienie do dialogu z Niemcami. Przyczyn takiej ewolucji polskiej tradycji historycznej i nasycenia sposobu myślenia pierwiastkami religijnymi szuka ksiądz Scholz, niewątpliwie słusznie, w wieloletniej niewoli wielkiego niegdys narodu, obrabowanego z niepodległości i państwowości. Siłę oddziaływania tradycji, nacechowanej spleceniem katolicyzmu i patriotyzmu oraz upowszechnieniem pojęcia „Polak = katolik”, spotęgowała polityka Hitlera na ziemiach polskich. Spostrzeżenie to, choć mało odkrywcze, warto odnotować, choć autor zdaje się nie dostrzegać prostego, a skrzętnie ukrywanego w oficjalnej polskiej propagandzie przez wiele lat faktu, iż z grona wschodnioeuropejskich państw (socjalistycznych) jedynie w Polsce nie powstały szersze formy kolaboracji z Niemcami: jedynie Polacy, poza Czechami, nie uderzyli w 1941 r. wraz z Hitlerem na Związek Radziecki. W przeciwieństwie do wielu Kościołów europejskich Kościół polski nie zawiódł w tej próbie, odrzucając zarówno hasła krucjaty anty bolszewickiej w latach 1941-1944, jak i wszelkie zamysły kolaboracji z okupantem hitlerowskim. Wystarczy przecież z Warszawy pojechać do innych stolic krajów socjalistycznych demokracji ludowej (poza także po części zniszczonym w latach 1943-1945 Berlinem), aby przekonać się, jak kto przeżył wojnę. Zawiodła wówczas nawet historyczna przyjaźń rosyjsko-bułgarska.

Książka księdza Scholza powinna zainteresować zarówno władze polskie, jak i Kościół ze względu na omawiany temat, którego nie sposób pominąć w kształtowaniu obecnych stosunków z narodem niemieckim w dwóch państwach, oraz z uwagi na dokonującą się tam i u nas zmianę generacji. Ksiądz Scholz zdaje się żywić nadzieję, że młodsze pokolenia, wolne od tragicznych doświadczeń przeszłości, są w stanie nawiązać dialog w temperaturze niższej niż ta, która cechowała stosunki nasze w przeszłości nie tak odległej. Jak dotąd ks. Scholz, skrzętnie odnotowujący reakcje polskie, powołać się może na pojedyncze głosy, znamionujące tak pożądaną przez niego ewolucję (W. Bartoszewski, J.J. Lipski, Z. Czycha).

Książka adresowana jest przede wszystkim do Kościoła katolickiego w Polsce, przeto

autor pozwala sobie na kilka uwag, które mogłyby być pomocne tak w dyskusji nad jego książką, jak i autentycznym polsko-niemieckim pojednaniem. Jakże często uniemożliwiały je nie polski nacjonalizm, lecz niemiecka „Ueberheblichkeit”, postawy agresywnego paternalizmu, skutki polityki narodu sprawniejszego od nas w sferze organizacji i wytwarzania materialnego bogactwa, a zarazem pozbawionego tradycji parlamentar-no-demokratycznych Zachodu i prymatu pierwiastka suwerenności narodu nad autorytarnym państwem.

Nie ma potrzeby przemilczania ogromnego wkładu cywilizacyjnego Niemców w rozwój gospodarczy i kulturalny ziem zachodnich i północnych (szczególnie znakomicie prosperowało rolnictwo intensyfikowane na przeważnie słabych i wymagających ogromnych nakładów glebach). Polacy powinni bardziej niż dotąd pochylić się nad często tragicznym losem pomników cywilizacji niemieckiej na tych obszarach: szlacheckich rezydencji, starych zespołów parkowych i stawów, cmentarzy i kościołów. Czyni się w tej dziedzinie nieraz wiele w stosunku do tego, co uniknęło zniszczenia w następstwie zwykłego wandalizmu czy ludzkiej zorganizowanej lub bezplanowej pazerności, lecz w oczach znikają siedziby znakomitych niegdyś rodów: niemieckiego i słowiańskiego czy pruskiego (dawnych Prusów) pochodzenia.

Przy pełnej świadomości faktu, iż wypędzenie Niemców stanowiło konsekwencję rozpętanej przez nazizm wojny i starego powiedzenia „kto sieje wiatr, zbiera burzę”, nic nie powinno stać na przeszkodzie opublikowaniu po polsku obszernej dokumentacji (gromadzonej w Niemczech Zachodnich) dotyczącej wypędzenia Niemców i uświadomieniu społeczeństwu polskiemu tragedii tych ludzi, zmuszonych do opuszczenia swojej ojczyzny, którą zamieszkiwali od setek lat wraz z polskimi i litewskimi sąsiadami.

Z drugiej strony wszakże nie sposób pogodzić się z próbami stawiania znaku równości między niemieckimi zbrodniami okresu okupacji z prześladowaniami, jakich doznała ludność niemiecka ze strony władz polskich i radzieckich w trakcie przesiedleń. Niewątpliwiej weryfikacji wymagają oficjalne interpretacje polskie, podnoszące w pełni humanitarny charakter przesiedleń, w co piszący te słowa nie wierzy, wzięwszy pod uwagę ogrom nagromadzonej w Polsce nienawiści. Czy można było wymagać chłodnej postawy od ludzi, którzy widzieli Warszawę w 1945 r.? Antyniemieckie postawy polskie w trakcie przesiedleń dotyczyć mogły jedynie niewielkiego odsetka Niemców, podczas gdy przedmiotem potwornego terroru, realizowanego z niemiecką konsekwencją, pozostawał od połowy 1941 r. cały naród polski.

Warunkiem sine qua non przyszłego dialogu jest przyjęcie przez partnerów niemieckich tezy o kolektywnej winie całego narodu niemieckiego za zbrodnie popełnione na narodach Europy. Przychodzi to trudno nawet przyjaznym Polsce historykom. Ksiądz Scholz, operując często pojęciem „Frevel Hitlers”, w najlepszym wypadku samej elity nazistowskiej lub aparatu państwowego, ignoruje potężny już dorobek naukowy i publicystyczny nauki polskiej, anglosaskiej i zachodnoniemieckiej, które odrzucają starsze, forsowane przez naukę, m.in. NRD, tezy o dyktaturze Hitlera jako konsekwencji m.in. strachu wielkiego kapitału przed komunizmem¹. Pojęcie dyktatury Hitlera zdejmując z narodu niemieckiego jako całości znaczną część odpowiedzialności, obarczając nią garstkę fanatyków i odłam uwiedzionego narodowym socjalizmem drobniomieszczaństwa. Nowe prace wykazują nawet, iż zależność Hitlera od wielkiej finansjery, przy objęciu władzy około 1933 r., była znacznie mniejsza, niż to utrzymuje nauka enerdowska, której zasług na polu ujawniania prawdziwego oblicza nazizmu nie sposób nie doceniać. Prace anglosaskie podkreślają, że naród niemiecki był dojrzały do przyjścia Hitlera, że był on specyficzną projekcją autorytarnych tęsknot drzemiących w niemieckiej duszy². Jest rzeczą niezrozumiałą, że preferując odpowiedzialność elity parweniuszy, ksiądz Scholz przeszedł do porządku dziennego nad godnym uznania dorobkiem własnej, zachodnoniemieckiej historiografii, widzącej także w Hitlerze i popularności hitleryzmu wśród Niemców owoc specyficznego niemieckiego rozwoju, zniewolenia duszy przez prymat idei państwa i posłuszeństwa, konserwatywnej, antyparlamentarnej tradycji

¹ Ostatnio: *Deutsche Geschichte in 10 Kapiteln* (wyd. Joachim Hermann), Berlin 1988, 353.

² Np. Gordon A. Craig, *Über die Deutschen* [oryg. *The Germans*], München 1982, 81 n.

pruskiej. Ogromne zasługi dla przewartościowania tradycji położyli w RFN przede wszystkim hamburska szkoła-F. Fischera z jego klasyczną już pracą o genezie I wojny światowej *Griff nach der Weltmacht* z 1961 r.³, a także ostatnio wybitni reprezentanci neohistoryzmu z L. Gallem na czele. Wystarczy wspomnieć jego znakomitą biografię Bismarcka z 1980 r., w której — przyznając żelaznemu kanclerzowi wielkość historyczną — obciążył go współodpowiedzialnością za utrwalenie w obrazie duchowości niemieckiej państwa jako jedynego niemal punktu orientacyjnego⁴.

Oba Kościoły były częścią społeczeństwa w dobie największych triumfów hitleryzmu. Spragniony ekspiacji ze strony Episkopatu Polski ksiądz Scholz zrećcznie przechodzi nad tym, jakże bolesnym dla sumienia niemieckiego katolika czy protestanta zagadnieniem. Postawa wybitnych hierarchów obu Kościołów, szczególnie w Prusach, poruszana jest zupełnie marginalnie, podobnie brak odpowiedzi czy własnego sądu w kwestii, na ile Kościoły wykorzystwały możliwość paraliżowania powabów tak skutecznie roztaczanych przed milionami przez partię nazistowską. Odpowiedź byłaby niestety negatywna, zaś wątpliwości mieli już dalecy od komunizmu spiskowcy 20 lipca 1944 r. Choćby arystokrata Hans-Bernd von Haeften, piszący w maju 1941 r. do Herberta Krimma o „Resignation des Luthertums”⁵.

Pamięć księdza Scholza jest selektywna. W przełomowych latach trzydziestych XX w. był dorosłym człowiekiem, który nie mógł nie dostrzec szybkości, z jaką zwyciężała w kręgach wiejskich, wśród chłopstwa i mieszkańców małych miast niemieckiego wschodu ideologia hitlerowska. Pracował wówczas m.in. z wychodzącą emigracją polską i ewolucja nastrojów wśród jego rodaków nie mogła ująć jego uwadze. Te duchowe spustoszenia nie mogły nie utrwalić się we wspomnieniach księdza Scholza w przynajmniej takim samym stopniu jak antyniemiecka propaganda Związku Zachodniego lat trzydziestych XX wieku, której autor z widoczną przesadą przypisuje pobudzanie nastrojów, których apogeum przypadło po upadku III Rzeszy, w czasie wypędzenia Niemców z jej wschodnich obszarów.

Jednym z warunków pojednania między Kościołami wydaje się być, niezbędna także u duchownych kształtująca opinia publiczną z niewątpliwym talentem przekonywania, refleksja nad bezmiarem duchowego upadku własnego narodu i popełnionych przezeń win, zdrady wobec ideałów europejskiej cywilizacji, skromność i poczucie odpowiedzialności, bez których nie sposób zrozumieć motywów kierujących Episkopatem i rządem polskim w polityce niemieckiej bezpośrednio po 1945 r. Wspomniana refleksja po stronie niemieckiej nie może ignorować pesymistycznej konstatacji Rudolfa von Thaddeusa, gdy pisał on o Kościele (protestanckim) w cieniu państwa:

„Na końcu historii Kościoła ewangelickiego w Prusach stoi przeto fiasko instytucji, która została ugodzona w swoją piętę achillesową — zbyt silne związanie się z autoryte-

³ F. Fischer, *Griff nach der Weltmacht. Die Kriegszielpolitik des kaiserlichen Deutschland 1914*, Düsseldorf 1961; Por. też: D. Ategmann, B. J. Wendt, P. Ch. Witt (wyd.), *Deutscher Konservatismus im 19. und 20. Jahrhundert. Festschrift für Fritz Fischer zum 75. Geburtstag und zum 50. Doktorjubiläum*, Bonn 1983.

⁴ L. Gall, *Bismarck. Der weisse Revolutionär*, Frankfurt am M.–Berlin–Wien 1980, 707:

„Auf diese Weise ist Bismarck als politische Figur zugleich der Mann geblieben, der für die Deutschen wie für die Welt, und sei es in kritischer Distanz, wie sie heute sicher überwiegt, die Nation in der Phase repräsentiert, in der sie ihre moderne historische Identität gewann. (...) Und man kann sagen, daß der Erfolg in dieser Hinsicht sein letzter und vielleicht grösster Triumph gewesen ist. Es war mit Sicherheit aber auch sein verhängnisvollster. Denn er zwang die Nation zusätzlich in Kontinuitäten des Denkens, des Verhaltens, der Anschauungen, der Front — stellungen und der Vorurteile, in Kontinuitäten der historischen Selbst — und Weltanschätzung, die je länger, je mehr einer nüchternen Standort — bestimmung und Zukunftorientierung im Weg standen”.

Zob. W. Stepiński, *Bismarck w spojrzeniu neohistoryzmu zachodniemieckiego*, rec. L. Gall, *Bismarck. Der weisse Revolutionär*, „Materiały Zachodniopomorskie” 20 (1984) 331-343.

⁵ Hans-Bernd von Haeften w: *Der Kreisauer Kreis. Porträt einer Widerstandsgruppe. Begleitband zu einer Ausstellung der Stiftung Preußischer Kulturbesitz* (oprac. Wilhelm E. Winterhager), Berlin 1985, 34.

tem państwa. Wprawdzie formy tego związku zmieniały się w ciągu stuleci, miał on także w zależności od historycznej sytuacji inną jakość, jednak w centralnym punkcie związek ten zachował jedną linię: w niewystarczającej orientacji na inne kategorie ładu społecznego niż autorytet państwa”⁶.

Dr Włodzimierz Stępiński

Ks. Marian Rusecki, WIERZCIE MOIM DZIEŁOM. FUNKCJA MOTYWACYJNA CUDU W TEOLOGII XX WIEKU, Katowice 1988, ss. 308.

Dla teologii fundamentalnej, szukającej racji (motywów) wiarygodności chrześcijańskiego objawienia, problematyka cudu stanowi szczególnie przedmiot zainteresowania. Śledząc historyczną ewolucję tej problematyki, można nie tylko odtworzyć swego rodzaju historię form teologicznego myślenia, lecz także postępujący w czasie proces zmieniających się ustawicznie sposobów naukowej interpretacji rzeczywistości. W tej interpretacji kluczową rolę odgrywały pojęcia „natury” i „historii” (por. B. B r o m, *Das Wunder. Das theologische Wunderverständnis im Horizont des neuzeitlichen Natur — und Geschichtsbegriffs*, Göttingen 1975). Gdy myślenie pozytywistyczne ogłosiło się monopolistą myślenia naukowego, problem cudu zredukowany został do problemu możliwości jego „naukowego (naturalnego) wyjaśnienia”. W centrum zainteresowania znalazło się więc zagadnienie transcendencji cudownego faktu. Aktualnie, gdy na terenie teorii nauki pojawił się postulat antypozytywistycznego zwrotu, gdy dowartościowany został hermeneutyczny aspekt naukowych poszukiwań, w teologicznej problematyce cudu przedmiotem szczególnego zainteresowania stała się związana z treścią objawienia historyczna komunikatywność cudownego znaku. To „nowe” spojrzenie na teologiczny problem cudu jest w gruncie rzeczy powrotem do interpretacji odkrywanych w Piśmie Świętym i w teologii Ojców Kościoła. Byłoby jednak wielkim nieporozumieniem, gdyby teologia XX wieku poprzestała na biernym powielaniu powstałych w przeszłości treści. Nasze stulecie zaowocowało więc różnego rodzaju próbami analiz problemu cudu. Jest rzeczą zrozumiałą, że w tych analizach dochodzi do wymownego spotkania tradycji judeochrześcijańskiej z doświadczeniami naszego wieku.

Dobrze się stało, że doczekaliśmy się próby syntetycznego ujęcia wielości współczesnych spojrzeń na teologiczną problematykę cudu. Taką próbę stanowi wydana przez Księgarnię św. Jacka (Katowice) książka o obiecującym tytule: *Wierzcie moim dziełom. Funkcja motywacyjna cudu w teologii XX wieku*. Autor książki, ksiądz Marian Rusecki, znany jest z licznych publikacji omawiających różne problemy związane z formalno-merytoryczną ewolucją współczesnej myśli teologiczno-fundamentalnej. Kluczowa dla tej myśli problematyka cudu ma już swoją dość długą historię. Specyficzna ewolucja tej problematyki łączy się ściśle z epistemologiczną różnością następujących po sobie modeli teologiczno-fundamentalnego (apologetycznego) rozumowania.

Badawcza aktywność tradycyjnej apologetyki, uważającej się za „wiedzę obiektywną”, zmierzała do udowodnienia samego faktu objawienia. W kontekście takich aspiracji cud awansował do rangi „dowodu”. Towarzystwo problematyce cudu teorii posługiwały się kategoriami rzeczowymi, apersonalnymi i ahistorycznymi.

Samo sformułowanie tytułu książki (*funkcja motywacyjna cudu*) sygnalizuje swego rodzaju odejście od takiego „przedmiotowego” zawężania problematyki cudu. Takie odejście postulowały mnożące się w naszym stuleciu różnego rodzaju interdyscyplinarne dyskusje, które wskazywały coraz bardziej na potrzebę dowartościowania ludzkiej podmiotowości (indywidualnej i społecznej) w procesie poszukiwania kryteriów wiarygodności Bożego objawienia. Zaakcentowana w tytule książki funkcja motywacyjna

⁶ Rudolf von Thadden, *Kirche im Schatten des Staates. Zur Problematik der evangelischen Kirche in der preussischen Geschichte*, w: *Preußen im Rückblick* (wyd. H.-U. Wehler, H. J. Puhle), Göttingen 1980, 174.